Nr. 47. We Lwowie dnia 19. listopada 1894. Rok II.



Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego"
pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha

Z księgi ofiar.

(W rocznicę rzezi krożańskiej).



Wierzyłem dawniej mocno, o Panie!
Że na niebiosach wypasasz łanie
Pod oka Twego błękitem:
A one chodzą paść się na darnie,
Gdzie w dzień zapalasz złotą latarnię,
Po nocach iskrzysz gwiazd sitem,
Z koniczu ścielesz łan i z lucerny,
I pić im dajesz z chmur, jak z cysterny,
I ciepłem grzejesz łuczywa.
A one, płoche, stadem sarenki
Do nóg Ci lecą, paść się z twej ręki,
Co taka jest dobrotliwa.
Lecz raz... Posłuchaj:

W Krożach, od rana,
W kościele dzwony biją, organa,
Jak w święto grają na chórze.
Z litewskich kwiatów u stóp ołtarzy
Woskowych świateł tysiąc się jarzy,
Aż łuna bije ku górze.
A lud — jak w niebo — ciśnie się, tłoczy,
Choć dzień powszedni był i roboczy:
Dwudziesty pierwszy listopad.
A tu go zasię pełno jak w ulu:
O! Panie! — wołał — ratuj, o Królu!
I na kolana już popadł;
I przed Najświętszej Matki obrazem,
Z tym wężem u nóg — prochem był, ślazem,
Karmiącym paszczę tej żmiji.
Z oblicza wiernych widać czcicieli,
Że przyszli złożyć wszystko, co mieli,
W ofierze swojej Maryi,

Ofiarowania twego był dzionek,
Dla tego pełny kościół, przedsionek,
I ciżba ludu za drzwiami.
Ci, co nie weszli do nich, kołaczą —
Bo cię już więcej tu nie zobaczą,
I nie ustroją kwiatami.

Wnet dom Twój złoty w arkę łupieży,
W kościaną wieżę Twoich rycerzy
Przemienić ma się na zawsze.
Jest bóg, co w drzwi te rzuci przekleńcie,
I odcisnąwszy na nich pieczęcie
Od laków większe i krwawsze,
Zatrzaśnie w gniewie — albo też z łaski,
Jak grom przemienia domy na trzaski,
Na żwir, na stosy kamieni:
Tak też i kościół, car, zły i gniewny,
Na zbór przemienić każe cerkiewny —
I pewnie że go przemieni.
A wtenczas spojrzyj: cerkiew tu stanie,
I w niej się modlić muszą Krożanie,
I do niebiosów iść przez nią!
A... choćby nawet ukaz bagnetem,
Kościółek stajnią zrobił, meczetem —
To pierwej musi być rzeźnią.

Nie tak sosence uciąć żałośnie
Gałązkę, wiedząc, że jej odrośnie;
Z przędziwa wyrwać włósienko,
I pióro ptasie! Ale i łozy
Z korzeni łuskać, w gniazdku na mrozy
Przewiewne zrobić okienko,
To się załzawi oko i schmurzy;
A cóż dopiero, gdy je kto zburzy
I odda wiatrom na skrzydła?
O! pomyśl teraz, jeśli tu komu
Z siekierą przyjdą łupić do domu —
I złupią... Potem do bydła:
Ryczącą krowę wezmą, Krasulę,
I tę ostatnią zedrą koszulę;
A z pod koszuli pastuszej,
Cóż mogą zabrać więcej, nad miarkę
Tych łez, co wzięli? chyba fujarkę,
A z jej westchnieniem — pół duszy.
Czy może ona, z kory wierzbowej,
Za głośno będzie mówić o owej
Sierocej doli chłopaka?
Czy też wyprosi, łzami wymodli,
Że uczciwymi staną się podli —
I ztąd bezmierna złość taka?

Na wieść, że kościół ma być zabrany,
Że w nim umilknąć mają organy

I śpiew — i światła pogasną:
Rozkołysane dzwony, pod sznurem,
Jeszcze raz drgną — i jeszcze raz chórem
Uderzą, jękną, aż — zasną.
Podobnie, jak ten dzwon, co z ratusza,
Choć w czarnej chmurze kłębów się rusza,
Czerwony cały jak bania:
Choć rąk zabraknie, lina się spali,
To on w tym ogniu, młotem kowali,
Na alarm ciągle wydzwania.
Już zamilkł — i znów się zerwał na haku,
Ognistem skrzydłem pchnięty wiatraku,
Co mu wydyma w tej łunie,
Jak puzon piersi: by mógł wyłonić
Z nich jęk — i całą zgrozę wydzwonić
Zanim się stopi, lub runie.

Tak samo wtenczas dzwonił krożański,
Na Anioł Śmierci, jakby na Pański.
Pamiętam, matka od stołu,
Zaledwie dzwonów jęk ten posłyszy,
Zerwała się, podobna do myszy,
Do spłoszonego aniołu,
I popatrzywszy w okna ze strachu,
Czy gdzie nie widać iskier na dachu,
Tak blada poszła, jak ściana —
A odskoczyła od nich, by jeleń,
Zmieniona w pąs, o! niby ta zieleń,
Gdy na nią padnie różana
Zorza, łzy brylantowe w warkoczach
Paląca kwiatów — tak i w jej oczach
Tysiące błysło granatów.
Przez koralowe ust jej ognisko,
Tej Ostrobramskiej wyszło nazwisko,
I Jezusowych kamratów.
Przybiegła potem do nas, do dzieci,
Z rąk nam wydarła chleba, jak śmieci,
Otwarła skrzynię zamkniętą,
I nuż wyrzucać płótna z niej lniane,
Pas, granatową moją sukmanę,
Tę, co nosiłem na święto.
A sobie także jasną spódnicę,
Różańca sznur, i krzyż, i gromnicę —
Bo należała do Bractwa
Tej Matki cichej...

»Bierzcie-no! bierzcie
Na siebie — rzekła — ino się śpieszcie,
Bo rychlej nam tam od ptactwa,
Od tych skowronków szarych, co nucą.
A nas nie wiedzieć, czy nie zawrócą?
Czy puszczą do Niej na schodki?
Czy ujrzą oczy? Ujrzą! nie wierzcie!...«
I powtarzała: »Śpieszcie się, śpieszcie!«
Jak z litanji te zwrotki.

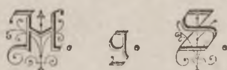
Przez całą drogę, goniąc, jak charty
Na wiatr, mówiła do nas: »Zaparty,
Zamknięty pewnie.., pod strażą...
Przed złodziejami zwarli na rygle!«
I oczy jej się wtenczas, jak tygle,
Jak gwiazdy w nocy rozjarzą,
Młodszemu bratu znowu z szelestem
Jesiennych liści, z ruchem i giestem
Gałęzi, wiatrom na pościół,
I opierającym jeszcze się burzy,
Po kilkakroć, aż razy powtórzy:
Gdy przyjdą zabrać już kościół,
Gdy wpadnie sfora carskich rataji,
Jak ma się wtenczas stawić tej zgraji,
Co odpowiedzieć ich rotom?
I powtarzała wówczas surowo,
Niby Ojczenaszowe to słowo:
»Nie bierzcież Matki sierotom!
Tak im odpowiedz synu, a śmiało!«

O!... co tam ludzi stało — co stało...
A też to tego narodu!
Od drzwi kościelnych aż do parkanu,
Jakby kto posiał zboża wśród łanu
Na czarnoziemiach ogrodu.
Nie będzie głodu! ludziom bez prośby
Po świecie chodzić, tyle tu kośby:
Po kłosach, rosą zwilżonych,
Po źdźbłach, co tak wyrosły w upale,
Że stal się chyba ślizgnie po wale,
Po łbach tych zbóż wykłoszonych!

Ha! toż i ojciec — patrzę — nasz stary
Przy samym progu, gdzie te filary,
Jak posąg biały z marmuru,
Przy drzwiach kościelnych stanął wykuty:
Milczący, nieruchomy — bez nuty,
Lecz dostrojony do chóru
Tej pieśni, jaka biła w firmament,
Ze wszystkich łon niosąc jęk i lament,
O bezmiar nieba szarpiący.
Stał, w białej komży, wznosząc źrenice
Z pod siwych włosów, niby dwie świece,
Gdy im już płomień gorący
Wystrzeli z knotów. W ręku, nie złoty,
Lecz znak drewniany trzymał Golgoty,
Z cierniową w górze koroną;
A wznosząc krzyż, jak miecz u Ogrojca,
Tak archanielską była twarz ojca,
Żem wierzył w siłę uśpioną
Tych skrzyżowanych ramion, że Twoi
Nie przypinają tylko swej zbroi
Na bezbronnego Adama,
Lecz w kąt rzuciwszy arfę serafią,
U wrót kościelnych bić się potrafią —
Choć nie do raju ta brama.

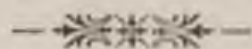
Dok. n. *Stefan Komornicki.*





H. g. S.

(Z cyklu poezji prozą: »Łzy i uśmiechy«).



W wielkiej kopalni cynobru w Almaden, panował ruch niezwykły, bo oprócz ożywienia sobotniego, które poprzedza upragniony dzień spoczynku i wyrwania się z trujących wyziewów rtęci, zjawił się nabywca na dużą ilość oczyszczonego metalu i robiono przy nim próby, doświadczenia i układy.

Po korytarzach snuli się robotnicy, wlokąc nogi za sobą, bladzi, kaszlący, łysi, niezadowoleni. W tej zbieraninie ludzi byli przedstawiciele różnych ras i stanów; skazani do robót zbrodniarze, o bezmyślnych, zwierzęcych twarzach; wyrafinowani, wielkoświatowi rabusie o wyrazie czujnym a nerwowym; Murzyni, którym cera zbladła od wyziewów; Hiszpanie, którym czarne oczy pałały pod ogołoconemi od włosów czaszkami; żółci Chińczycy, przesiedleni tu jako zdolni robotnicy z innych kopalń; wysmukli, bystrzy Kroatowie z Idrji i mali, czarni Peruwjańczycy o jaskrawych oczach i niecierpliwych ruchach, kręcący się jak bazyliszki w mrokach podziemia; byli ludzie starzy i bardzo młodzi, a wszystko to wyglądało ponuro, ociężale, stękało z rozdrażnieniem i opryskliwie przemawiało do siebie, klnąc w różnych językach, wzywając pomsty różnych bogów.

I nietylko złoczyńcy, za karę tu skazani, ale najinteligentniejsi robotnicy, nie przeciążeni pracą i dobrze płatni, okazywali to samo mrukliwe zniechęcenie, tę tajoną nienawiść, która zdawała się podminowywać całą kopalnię, kłócić tych ludzi między sobą, a jednoczyć ich jedynie w mściwem uczuciu przeciw wspólemu a potężnemu wrogowi. Wróg ten aż nadto był widzialny dokoła, śmiertelne swe piętno kładł na licach w obrębie jego zabójczego oddechu pracujących przeciwników.

W korytarzach wyciosanych w pięknej, czerwonej rudzie zbierało się chwilami duszne powietrze, gryzące wonie niby siarki, niby celenu, bizmutu, chloru, bronzu, kłębiły się pod sklepieniami, dusiły w piersiach, drapały w gardle, ciężarem się kładły na sercu i rozchodziły się po kościach przykremi iskrami.

Po ścianach stały napisy, jakieś znaki porównawcze, chemiczne, tu i tam wiła się fosforyczna rysa na ciemnym pokładzie, tu i tam czerwona żyła, rdzawa plama zdradzała siedlisko żywego srebra; metaliczny, ciężki, wilgotny chłód wiał korytarzami tych dantejskich okręgów pracy, jednej z najniebezpieczniejszych, jakie istnieją na świecie, a na błyszczących tabliczkach, od miejsca do miejsca, widniały tajemnicze monogramy H. g. S. tej szybkiej, skrytej trucizny, która pod postacią pełnego niby życia i wrażliwości kruszcu, panowała tu wszechwładnie, pochłaniając czas i przyśpieszając śmierć sług swoich.

W wielkiej sali, jaskrawo oświetlonej, robota jeszcze szła żwawo. Stary, wysoki, szczupły robotnik rozrąbywał młotkiem na metalowej desce, duże kawały rudy, zanim je w gorejący piec rzucić miano, inny zaś rozwieszał na drążkach i oczyszczał kwadratowe płachty sukna, przez które, po oddzieleniu siarki od rtęci, przeciska ją się dla oczyszczenia. W szafach pod ścianami, stały szeregiem słoje, retorty, kryształowe puszki z nagromadzonymi zapasami żywego srebra w rozmaitych stopniach oczyszczenia i płynności, a na ogromnych, kamiennych stołach destylatory, odbieralniki, przyrządy do chemicznych doświadczeń. Pracownia cała lśniła się mądremi narzędziami, w jakie nauka ująć zdołała i uwięzić ducha tej kopalni, a jednak i tu gryząca i podejrzana woń, pełno ostrzegających napisów, zdradzały jej miejsce pobytu i czyhającą potęgę. To też chemik, który się krzątał koło przyrządów, choć młody i z wielce ożywioną twarzą, najpogodniejszą ze wszystkich w tem podziemiu, blady był już jednak tą samą księżycową bladością jak i robotnicy, nad pięknem jego czołem włosy mocno rzedniały, a z dwóch boków przy skroniach miał dwie siwe smugi od nieostrożnego obcierania palców, co go czyniło podobnym do pewnego gatunku orła z białą strzałą ponad oczami.

Właśnie pokazywał przybyłemu nabywcy salę chemicznych doświadczeń. Spokojny Anglik słuchał poważnie, ognisty Hiszpan tłómaczył, zapalał się do swego przedmiotu, zacierał ręce, łyskał białkami wspaniałych, czarnych oczu, które w świetle elektrycznem paliły się, jak solitery.

— Widzisz pan — mówił szybko — ileśmy oto w ostatniej naszej kampanji zdobyli łupów! Oh, idziemy szybko! Wyśledzimy drogi tajemniczego metalu! On się kryje to tu, to tam w bryłach rudy, jak ongi Maurowie po wąwozach i jaskiniach Kastylji, ale ba! ślady zostawia za sobą ogniste! ruda go zdradza i dostaje się w nasze ręce. Patrz pan, co za pyszny okaz!

Robotnik mruknął niechętnie, gdy przystąpili do stołu, gdzie na płycie rąbał cynober.

— Patrz pan, ile tu żywego srebra! porąbane cząstki pójdą w piec; w silnym przystępie powietrza rtęć oddzieli się od siarki, która się zamienia w kwas, a sama, po przejściu w parę i skropleniu, oczyszczoną zostanie jak promień srebrzysty. Otrzymujemy ją i przez destylację w odbieralnikach, oto tu, w tej żelaznej retorcie, widzi pan...

Robotnik znowu mruczał:

— Prawda zawsze na wierzch wyjdzie... — i rąbał dalej.

Chemik ciągnął kupca w inną stronę.

— Powiadam panu, dziwny to metal, towarzyski, przyjazny, łączy się ze wszystkiem pra-

wie, nie lubi samotności, rodzimc samo w sobie, nudzi się, ale mieszka chętnie z innymi kruszcami, tworzy poprostu stowarzyszenia z ołowiem, bizmutem, cyną, miedzią; narzuca im swoją piękną purpurę lub przyodziewa się w ich szarą szatę, otlenia się w ich bluzę górniczą i pracuje razem! Patrz pan, w tym zbiorniku jest kalomel czyli chlorek rtęci; a tu sublimat gryzący, nie otwieram, bo to okrutna trucizna; a tu azotan rtęci, ale to nie dla pana, to zamówienie gotowe dla fabryki kapeluszy w Paryżu, gdzie go używają do spilżnienia włosa; a tu merkurjusz czyli piorunian rtęci, to znów pójdzie do londyńskiej fabryki pistonów. Śledzę od lat kilku ten dziwny, metaliczny indywidualizm, łączący się ciągle z drugimi — —

— Bez żadnej własnej godności — wtrącił robotnik.

— W chwili doświadczeń, figle mi płata, gdzieś się podziewa, znika, ulatnia — —

— Wieczna, tchórzowska rejterada przekonań — szepnęło w kącie sali. Anglik się obejrzał, zdziwiony aforyzmami robotnika.

— To nasz miejscowy pesymista — objaśnił chemik — nie lubi rtęci, ciągle ją podejrzywa i oskarża; co do mnie, wolę ją śledzić i badać; mnóstwo nowych związków powstaje mi w myśli; panie, nie dziw się, wieki średnie głowę sobie łamały nad tajemnicą tego osobliwego metalu, który jedyny między kopalinami ma w sobie wszystkie stany. — Oto tu siedzi w twardej bryle skupiony i trzyma się za ręce z siarką; tam rusza się niespokojnie w stanie rodzimym, tu krzepnie w kryształy, tam daje się kuć, a tam wrze i paruje, tam niby znika, a łączy się znowu z jakimś towarzyszem! Wszystko może, wszystko da z siebie zrobić!

— Tylko nigdy nie jest długo sobą... zawsze w służbie... — zauważono z boku.

— Powiadam panu, to znakomity chemik, ta rtęć, wydobędzie każdy metal, z każdym się porozumi, z każdego się oczyści, zbierze gazy, w wodzie rozpuszczone, złoto i srebro rozcieńczy, wszystko rozłoży, wykaże, wyśledzi; to dopiero analizator! to dopiero wspólnik, wyborny w chemji, w medycynie, w przemyśle! Fabryka pana nie zrobiłaby kroku bez rtęci z cyną. A patrz pan, tutaj, to dla fabryki termometrów, zaraz... niech pan nie dotyka...

— To czemuż pan dotykasz?

— Eh, ja się już przyzwyczaiłem, my się znamy, etykieta znikła między nami i niedostępną infantkę sto razy miałem w ręku. Patrz pan, tę czystą, jak perła, kuleczkę, puszczam na dół... O! parę cali nie uleciała, już się dzieli, rozlatuje, cząstki się nie przyciągają...

— Aha... tak... tak... nigdy razem... nigdy! wszystko razem! — zauważył w kącie robotnik i wyszedł rozdrażniony.

— Pan bardzo lubisz, widzę, swój kruszec?

— Ależ ja go uwielbiam! zdumiewa mnie, niepokoi, pobudza do myślenia i wabi.

— Ale i truje!

— Któraż praca nie rujnuje, czy pan nie tracisz zdrowia w swojej fabryce zwierciadeł? Rtęć to niestała kochanka, zmienna siniorina, żywa, świetna, tajemnicza, niedostępna niby, ale gdy ją namiętnem ciepłem ogrzejesz, to z najtwardszej napozór rudy, wydobędziesz żywe srebro!

— Dobrze; ale jak się siniorina ulotni?

— Ha, ha! — śmiał się Hiszpan — to ją się schwyta na gorącym uczynku, w zdradliwym związku z tym innym i przemocą ją się odbija! Patrz pan... cierpliwości... tu jest zbieralnik... czekajmy chwilę. Widzisz pan tę mgłę lekką, prawie niewidzialną... to ona! w eterycznej szacie, moja Dulcynea! ha, ha, a ten, na dole... to jej wspólnik, dwóch naraz nawet: siarka i żelazo, a to szkaradnica! podstępna ona, ale i na nią są sposoby! No, pójdzmy teraz do składów, gdzie dla pana przygotowują przesełkę.

Sala się opróżniła, cisza zalegla, tylko po szafach, po retortach, po zbiornikach coś piszczało, ociekało, syczało; lampa elektryczna rzucała różowawe łuny, płomyki u maszyn drgały czerwonymi językami, a światło rozbite po kryształach słojów i puszek tworzyło liljowo-zielonawe tęcze, gasnące i wybuchające co chwila. Na ciemnym marmurowym stole ruszała się mała kropelka rtęci, puszczona przez chemika, niespokojna, jaskrawa, niebezpieczna, tworząc jakby punkt dośrodkowy tej wielkiej pracowni.

Drzwi się uchyliły, wszedł mrukliwy robotnik, i stanął nad stołem. Wysoki, chudy starzec nie wyglądał na Hiszpana, choć dumne miał czoło i wielkie, iskrzące oczy, wąs siwy otaczał ma usta, a prosta i sztywna postawa zdradzała dawnego żołnierza. Stał i kiwał głową.

— Oh, ty zjadliwe stworzenie... ty trująca nas kroplo! przeklęta żyłko!... co ty życia mnie kosztujesz... ileś ty rzeczy popsuła na świecie! niespokojnaś... a pewnie... drżysz... ha, ha! oni myślą, że to życie, a to strach... Dobrze ci tak! niepokój się, niepokój... to twoja kara... widzisz, uleżyć nie możesz... jakże inaczej ma być, oh!

Trącił palcem kulkę rtęciową, rozpadła się na drobniutkie cząsteczki, a robotnik dumał nad nią dalej. Górnicy przechodzący korytarzami, zatrzymani mruczeniem starca wchodzili do sali, było ich sporo, a każdy niechętnie patrzył na tę srebrną rosę na stole. W tej chwili przechodzili obaj panowie, Anglik zatrzymał wzrok na robotniku:

— Pan chemik rtęć uwielbia, a wy, mój przyjacielu?

— A ja jej nienawidzę! wybuchnął starzec. W słuchającem go gronie rozszedł się szmer przychylny.

— Dlaczegoż tak?

— Dlaczego? oh, długo mówić...

— Cóż wiecie o niej tak złego?

— A pan wiesz, co to jest rtęć? wiesz pan?

— Hydrargyrum!

— Aha, prawda była! nie panie, to całkiem co innego!

Oparł się o ścianę i zmrużył oczy. Bolesne drgnięcia twarz mu przebiegły, jakieś dawne wspomnienie, jak echa dalekiej burzy, jakieś męty gorzkich doświadczeń, wezbrały z głębi pamięci i wstrząsnęły sercem na nowo; ale siła duszy przemogła, żołnierz się w nim ocknął, wyprostował się, stanął znów czujny, sztywny, jak na warcie, jak w szeregu.

— Więc cóż to za dziwna tajemnica, powiedz nam już raz, kolego — nalegał chemik, ciekawy istotnie tego legendowego podejrzenia, jakie stary mistyk rzucał przy każdej sposobności na jego metaliczną ulubienicę.

— Chcecie wiedzieć?... Dobrze. Sprawiedliwe sądy! te kropelki błyszczące, ruchliwe, niespokojne, nieutulone, jakby jakieś sumienie je gryzło, to są — łzy zdrajców! O tak... tak! Wyli na dnie otchłani zdrajcy w rozpaczy i płakali do oślepnięcia prawie, a Bóg ich łzy zamienił w te krople, zachowując w nich cały okropny a dokładny obraz zbrodni... Patrzcie! widzicie... utrzymać się w całości nie może ta kropla, rozdziela się natychmiast, zdradza całość, spójnię, żadnej wierności, ciągłe odpadanie, ciągłe szukanie obcych związków, łączenie się z cudzym żywiołem, zdrada, na każdym kroku zdrada! Jak go ogniem miłości chcesz przekonać, to się ulatnia, znika, kryje, jak go ściśniesz wręcz zimnym prądem sądu, to się ścina w kryształy i udaje prawidłowy kruszec, kłamca wierutny! Dotkniesz się go, to ci kości kruszy swym wpływem, jak się ulotni, to cię jeszcze truje swym oddechem, szpieguje w krwi twojej, niszczy zdrowie ciała i gasi ducha wesele! Hydrargyrum! ba, czy myślicie, że to jego imię? gdzietam! ciągle jak szpieg zmienia nazwisko, raz wraz w służbie u innego pana. To metal-służalec! tu się powleka czerwoną liberją tlenu i nosi szumny tytuł »Mercurius praecipitatus perce«? Tam — łasi się do chloru: nazywa się kalomel i działa dokoła swą gryzącą metodą, truje, bezczelnie truje w szajce z zwykłą solą kuchenną! A tam znów blaguje jako piorunian, zabija gwałtownie, ale bez błyskawicy wielkiego celu. Da się wszędzie wciągnąć, da się przerabiać; swoje ja zatraci do szczętu; wyszpieguje tajemniczo pracujące, ciche a niewidzialne pierwiastki, złączy się z nimi pozornie, aby wybuchnęły przedwcześnie, nie w porę, i w chwili, gdy mógłby je w skupieniu utrzymać, on je zdradza, aby się rozpadły i sprowadziły nieszczęście. On rodzime, narodowe złoto rozłoży, wpływem rozdrażni jego czystość, szlachetność uczciwą srebra naruszy, i uczyni z nich amalgamaty bezideowe, na których podejrzanej wartości bankrutuje społeczeństwo! Oh! wieczna klęsko! słabe, wzajemne przyciąganie się cząstek!... przeklęte płynne zasady... zmienne stany... to zanadto lotne, to znów zatwardziałe... zdradziecka trucizna nurtuje i działa... naród otlenia się w obcych żywiołach, cudzą łuszczką się powleka, zamracza swój pierwiastek i otumaniony sztucznymi związkami, traci własne siły, sam siebie doszukać się nie może i zagubia swój odrębny byt! Strzeżcie się tej żyłki! Biada narodowi, w którym łzy zdrajców nurtują, drażniąc, rozkładając, psując społeczeństwo, krusząc mu kości rodzimych zasad, studząc mu serce powoli, aż wróg z szyderczym uśmiechem przyłożywszy swą przedziałkę zaborczą, przekona się, że stan jego ciepłoty ofiarnej opadł niżej zera... Oh, strzeżcie się na waszem ciele złowieszczej plamki zarazy, wyciskanego przez nieprzyjaciół monogramu trucizny.. H. g. S.! wiecie co to jest? to jest hańba — gnuśność — śmierć! Brońcie się, jeszcze czas! słyszycie... tam głęboko, w podziemiach, w pokładach narodu nurtują świeże, młode potęgi... one zdrowym organizmem oprą się łechcącym wływom zepsucia, i w prawidłowych kryształach swych celów, w silnym ogniu pracy, w nieprzepartej sile swego prądu, na czystych, nieotlenionych stronnictwami skrzydłach natchnienia wydobędą się na wierzch cudownym wybuchem żywotnych pierwiastków, jak iskier gwiaździstych snop!...

— Co to znaczy? — rzekł Anglik, wzruszając ramionami.

— Widzi pan, ci ludzie wschodnio-północni tak wszystko jakoś dziwnie biorą do serca... ten starzec widział podobno dwie chybione rewolucje w swojej ziemi; przybył z szablą, którą przekuć kazał na kilof. Pracuje jak żaden inny, ale w sercu nosi bunt — contra hydrargyrum!

— Maniak poprostu! Bądźcie zdrowi, przyjacielu!

— Bądźcie zdrowi cudzoziemcy! tak, zdrowi bądźcie sami, to odczujecie, jak inni chorują i cierpią i walczą na zewnątrz i wewnątrz... ale to trudno... i wyście dotknięci tą żyłką... i w was ta kropla nurtuje... tylko musicie ją głaskać, a my nie możemy jej znieść.

Robotnik do pustej już mówił sali, nie było już w niej słuchaczy.. cisza zaległa... po szafach, po retortach, po zbiornikach, coś piszczało, ociekało, syczało; lampka elektryczna rzucała różowawe łuny, płomyki maszyn i światło rozbite po kryształach słojów tworzyły liljowe zielonawe tęcze gasnące i wybuchające co chwila...

Na ciemnym, marmurowym stole ruszała się mała kropelka rtęci, niespokojna, jaskrawa, niebezpieczna, tworząc jakby punkt dośrodkowy tej wielkiej pracowni...

Pod ścianą, wyprostowany, posępny i czujny, jak żołnierz, stał robotnik stary, a w duszy jego, w kopalni bezdennej uczucia, drżała kropla niepokoju, gasiła ducha wesele, łączyła się w prąd różnorodnych żywiołów myśli, pragnień i dążeń, wrażliwa na najbliższe wspomnienie, dalekich, przeczuwanych niebezpieczeństw, ruszała mu się w sercu głęboko — boleśnie...

Szczęsna.

Z PRAGI.

Nie spełniłbym obowiązku Polaka, gdybym w obecnej dobie rozterek polsko-czeskich, idąc drogą ludzi złej woli, na to, co w Pradze widziałem i słyszałem miłego każdemu Polakowi, nie zwrócił uwagi czytelników polskich. Nie będzie tego wiele, ale zawsze dosyć, by dowieść, że mimo wszelkie przeszkody, przyjazne nam duchy nie przestają pracować nad wzajemnem zbliżeniem dwu narodów bratnich, które dla obu mogą i muszą tylko korzyść przynieść.

Ponieważ zaś, jak powiada łacinnik, od Jowisza zaczynać należy, zacznę od Vrchlickiego. Otóż poeta ten, którego nowy tomik wierszy »Wiązanki aster« (Kytky aster) właśnie opuścił prasę, rozpoczął już druk urywków z przekładu »Dziadów« w Lumirze, a co ważniejsza, korzystając ze sposobności, jaką nastręcza katedra profesora piśmiennictwa powszechnego, ogłosił wykład o »Dziadach« osobny na zimowe półrocze 1894/5. Rozpoczął wykład ten przy 60 słuchaczach, powiadam sześćdziesięciu! Liczba to wymowna, a co więcej, zdolna zawstydzić nas, których na wykładach dziejów własnego piśmiennictwa ledwie kilku lub kilkunastu można spotkać. Że prof. Emil Frida (t. j. Jarosław Vrchlicki) obrał sobie za przedmiot jednego z wykładów (bo ma jeszcze dwa inne: o »Boskiej komedji« i o »Nowoczesnej poezji francuskiej«, choć przy mniejszem audytorjum) Mickiewiczowe »Dziady«, na to wpłynął nietylko podziw prawdziwego poety wobec drugiego, lecz także wierny nasz przyjaciel, który stara się niezmordowanie jednać nam przyjaciół równie wiernych. Każdy domyśli się, że mówię o Edwardzie Jelinku; a gdy o nim mówię, nie mogę przemilczeć nowych prac jego. poświęconych — jak zawsze — krzewieniu okrzyczanego »polonofilstwa« między Czechami.

Oto w r. b. wydał u Szimáczka w Pradze tomik o 100 blisko stronach p. n. »Zapomenuty kout slowansky« (t. zn. Zapomniany kąt słowiański), poświęcony ziemi i ludowi Kaszubów, których poznał naocznie w podróży nad Bałtyk z. r., a nadto z dzieł uczonych i innych podróżników. Obecnie drukuje monografję Puław, opartą na pracy Dębickiego i innych, w »Złotej Pradze«; do druku przygotował »Czrty z cest« (t. zn. Szkice z podróży), w których znajdziemy między innymi szkice: »Kopce: Kościuszki i Unji Lubelskiej; W bibljotece jagiellońskiej; Na Litwie; We dworze ukraińskim; Warszawa i jej społeczność; Rapperswyl; Wspomnienia słowiańskie z Francji; W Poznańskiem; Ze Szlązka pruskiego; Siedziby szlacheckie (Puławy, Wilanów, Gołuchów, Kórnik, Waplewo, Podhorce)«, a wreszcie — jak mi sam powiedział — pracuje nad książką dla Czechów o Litwie. Do tych prac czeskich należy dodać polskie: 1) Listy o rzeczach morawskich (odb. z Czasu, 1894); 2) Dwa listy Tytusa hr. Działyńskiego do W. Hanki (odb. ze Świata), 3) Korespondencja pana A. J. Rościszewskiego z W. Hanką (odb. z Dziennika poznańsk. 1894), 4) Referat o korespondencji Hanki z uczonymi polskimi, przedłożony krakowskiej Akademji umiejętności. Nadto dokonał w b. r. czegoś, nad czem pracował przez całe życie. Oto położył podwaliny zbioru polskich druków w Czeskiem Muzeum, ofiarując mu wielki poczet dzieł, zebranych kosztem własnym, lub dzięki uprzejmości autorów, choć, co prawda, ci ostatni rzadko nią się w tym kierunku odznaczają. Mimo bowiem tylokrotnych odezw tak samego p. Jelinka, jak i innych po różnych pismach polskich, »polski oddział« — w Czeskiem Muzeum każdy naród słowiański ma swe »oddieleni« w księgozbiorze — rośnie nader pomaluczku. A jednak, jak błogie skutki może wywrzeć ten jeden egzemplarz, który dla autora nie stanowi rubryki, skoro dziesiątkami ich rozsyła do redakcji, często bez wyboru i li po to, by tam wyczytać swe nazwisko i napis książki! Dlatego też ponownie z tego miejsca odzywam się do wszystkich ludzi dobrej woli, tak autorów, jakoteż tych, którzy nie wiedzą, co począć z rozmaitemi dziełami polskiemi, pleśniejącemi u nich na półkach, by raczyli pamiętać o Czeskiem Muzeum w Pradze — adres to, najzupełniej wystarczający — a trud zasyłki opłaci się sowicie, że już pominę inny jej skutek, dla nas nieobojętny, mianowicie ten, iż Czesi o naszych zbiorach wzajem pamiętać będą tem bardziej. Dziś bowiem książki czeskie nie są częstymi gośćmi w zbiorach Ossolineum, lub książnicy jagiellońskiej, choć tej ostatniej również b. r. przekazał p. Jelinek swój zbiór dzieł czeskich, a nadto dostają się i dostawać będą nowe za jego pośrednictwem. A przecież piśmiennictwo narodu, który posiada takich poetów, jak Vrchlicki, Zeyer i Czech, takich dramaturgów, jak Prejsowa, Swoboda lub Szimaczek, takich... lecz dosyć wyliczań, bo pominąć musiałbym daleko więcej, niżbym zdołał wymienić — piśmiennictwo narodu takiego godne jest bliższego poznania, a sam naród, który wydaje takich ludzi, czyliż nie?

Po tem kazaniu, które oby nie było wołaniem na puszczy, wracam do rzeczy. By ze świata sztuki nie zstępować na padół ziemski, zatrzymam się przy księgarni Topicza, nie dlatego, że za oknem widzę tam książkę-curiosum o napisie: »Sofia Casanova, El doctor Wolski, paginas de la Polonia y Rossia«, lecz wabi mię do otwartego przezeń właśnie Salonu afisz — co prawda niesmaczny — dwoma wyrazami: »W. Szymanowski. Modlitwa«. Wchodzę do pokoju, przezwanego salonem, o szklanym dachu i widzę przed sobą tryptyk wielkich rozmiarów, przedstawiający w środkowej części lud wiejski, korzący się przed sakramentem, wystawionym na ołtarzu (w skrzydle prawem od widza), na

odgłos dzwonu, widzialnego w skrzydle lewem. Obraz to impresjonistyczny w najlepszym tego wyrazu znaczeniu, choć główną rolę odgrywa tu nie natchnienie modlitwy, jeno gra barw tęczowych, w jakich się rozlewa po tłumie snop światła, wpadającego do kościółka przez okno z nad ołtarza. Zresztą nie myślę wchodzić w rozbiór tej kompozycji; wspomniałem o obrazie głównie dlatego, by podnieść okoliczność, że czeski księgarz nie wahał się otworzyć swego »Salonu« dziełu malarza polskiego, a współrodacy chwalą jego krok jednogłośnie, odwiedzając »Salon« licznie.

Inny księgarz, F. Szimáczek, ten sam o k órym wspomniałem przy E. Jelinku, postanowił w wydawnictwie swem »Tanie tomiki nowel» (Levné svásky nowel — po 10 ct.) pomieścić najlepsze nowele polskie i nawet w tym celu prosił mnie o wskazówki przed kilku miesiącami. Jak się obecnie odeń dowiedziałem osobiście, już z nich skorzystał i przekłady odnośne są »w robocie«. W wydawnictwie ludowem zaś p. n.: »Knihovna Besed lidu« (nakładem Otty) wyszły świeżo w 13 tomiku trzy powiastki Kosiakiewicza«. Przekład Orzeszkowej »Nad Niemnem« wydał tenże nakładca, J. Otto, w innym wydawnictwie (»Lacina knihovna« t. j. Tania biblioteka) choć pod zmienionym napisem »Mezi sedlaky a pany« (t. j. Między wieśniakami i panami), w wybornym przekładzie autora gramatyczek: polsko-czeskiej i czesko-polskiej, Józefa Paulika.

Lecz nietylko z przekładów dziś poznają Czesi płody umysłowe Polaków, znajomość bowiem języka polskiego u nich jest tak powszechną, że — jak mi prof. Alojzy Jirásek, znany powieściopisarz, opowiadał z zadowoleniem własnem i mojem — uczniowie gimnazjalni przychodzą doń po radę, co mają czytać z polskiego piśmiennictwa. Obecnie znajomość tę mogą akademicy czescy pogłębić dzięki wykładom dra Jerzego Poliwki, znakomitego badacza legend słowiańskich i pism apokryficznych, a docenta wszechnicy czeskiej, który obecnie wykłada dziejową gramatykę języka polskiego.

Znalazłszy w ciągu trzydniowego zaledwie pobytu w Pradze tyle dowodów nieustającego zajmowania się rzeczami polskiemi ze strony Czechów mimo naprężenia, jakie zapanowało w czasach ostatnich między oboma narodami, opuściłem stolicę czeską z uczuciem radości i nadziei, że usilność taka dopnie swego celu i przełamie lody obojętności naszej wobec szczepu bratniego, co połączonem będzie z obopólną korzyścią.

Dr. Fr. Krczek.



Historja ruchu rewolucyjnego w Rosji.

(Ciąg dalszy).

Na początku r. 1862 wśród socjalistów, studentów i konstytucjonalistów panowało wielkie wzburzenie. Rząd do czasu przypatrywał się temu z założonemi rękami, ale wreszcie wystąpił przeciwko radykałom nader energicznie. Zamknięto kluby szachistów i czytelnie, szkoły niedzielne, zawieszono wydawnictwo »Sowremiennika« i dwóch innych pism opozycyjnych, a przedewszystkiem aresztowano Czernyszewskiego. Represja rządowa spowodowała ścisłe połączenie się istniejących od r. 1858 tajnych związków, które zorganizowały się w stowarzyszenie, nazywające się »Ziemla i Wola«. Główną siedzibą stowarzyszenia był Petersburg; za organ partji uważano »Swobodę«, oprócz której ukazało się jeszcze kilka pism ulotnych. Wszystko to jednak nie miało wielkiego rozpowszechnienia.

Powstanie polskie rozbudziło czujność rosyjskiego patrjotyzmu, wskutek czego socjalizm został na czas pewien zarzucony. Rosyjska partja liberalna wielce sprzyjała ruchowi polskiemu. Hercen w swym organie popierał ich sprawę, a Bakunin formował oddział ochotników, ażeby ze strony Szwecji wtargnąć na Litwę. Stowarzyszenie »Ziemla i Wola« zawiązało stosunki z innem tajnem stowarzyszeniem, które było rozpowszechnione w wojsku, znajdującem się w Polsce. Zawarto ugodę pomiędzy komitetem polskim a rosyjskim. Jednakże kiedy powstanie zostało stłumione, na scenę wystąpił Katków, który swojem słowem potrafił rozpalić szowinizm rosyjski. Napadł on z całą namiętnością na Hercena i jego kierunek, przyczem umiejętnie uderzył w strunę demokratyczną, stając w obronie »ciemiężonej« ruskiej ludności Litwy i Ukrainy. Pozyskał on wkrótce opinję publiczną dla sprawy narodowej. Liberali potakiwali mu, a nawet radykali petersburscy zerwali stosunki z Polakami. Katkow stał się spadkobiercą Hercena. Stowarzyszenie »Ziemla i Wola« pomało stopniało, tak wskutek represji rządowej, jakoteż wskutek reform (wojskowej, finansowej, sądownictwa, wprowadzenia samorządu w ziemstwach i t. d.), na polu których inteligencja i rząd podały sobie ręce do wspólnej pracy.

Siódmy lat dziesiątek najwłaściwiej jest nazwać okresem nihilizmu. Istotę nihilizmu bardzo trudno określić, zrozumieć go zaś można tylko na podstawie historji rozwoju duchowego Rosji. Nihilizm najwyraźniej wystąpił w dziedzinie religji i filozofji. Pisma Feuerbacha, Büchnera, Moleschotta, Darwina, Bouckle'a, Spencera i Comte'a wpłynęły na to, że młodzież została zupełnie opanowaną przez ateizm i materjalizm, dość powierzchownie pojęty. Drugim przedmiotem na-

paści stała się rodzina i stanowisko kobiety. Nihilizm niemniej zaznaczył swoje stanowisko w dziedzinie społeczno-politycznej, napadając na despotyzm w imię równości. Największe znaczenie miało osobiste zachowanie się nihilistów. Ich ideały były indywidualistyczno-egoistyczne. Rozwój osobisty wystarczał im zupełnie. Nihilizm nie jest niczem więcej, jak tylko pierwszą latoroślą materjalizmu i demokracji w Rosji z silnym odcieniem pesymistycznym. Nihilizm tylko pod względem duchowym posiadał znaczenie rewolucyjne; środek, jakim się posługiwał krytyka literacka — był jaknajbardziej pokojowy. Byli jednak i »nieprzejednani«, którzy o żadnem porozumieniu z rządem słyszeć nie chcieli. Zawiązali oni stowarzyszenie »Piekło«, jeden z członków którego (Karakozow) otrzymał polecenie wykonania zamachu na cara 4. kwietnia 1866 r. Karakazow wykonał zamach, który się jednak nie udał. Natomiast zamach ten stał się punktem zwrotnym w polityce wewnętrznej i reakcja stopniowo zaczęła ogarniać Rosję. Rząd skorzystał z zamachu i wystąpił przeciwko demokratom i liberałom. Zduszona w Rosji prasa krańcowa przeniosła się za granicę, gdzie wychodziło kilka pism kierunku rewolucyjnego. Najwybitniejszą rolę odegrał miesięcznik »Narodnoje Dieło« (1868—1870), który stanął na gruncie anarchistycznego internacjonalizmu i propagował ten kierunek w Rosji. Pismo to znajdowało się w ścisłym związku ze spiskiem Nieczajewa. Zdolny agitator Nieczajew zorganizował tajne stowarzyszenie pomiędzy młodzieżą w Moskwie, Petersburgu i Jarosławiu. Ostatecznym celem stowarzyszenia była rewolucja, która miała wybuchnąć 19. lutego 1870 r. Proklamacja stowarzyszenia wymagała od rewolucjonisty krańcowej nieludzkości i krwiożerczości. Spisek został wykryty w r. 1871, a sam Nieczajew uciekł do Szwajcarji. Spisek Nieczajewa był próbą rozdmuchania i wydobycia na wierzch ukrytego w głębi niezadowolenia, próbą, dokonaną przez jednego energicznego agitatora. Jednakże młodzież nie była jeszcze gotowa do czynów rewolucyjnych; organizowała się ona tymczasem w związki, zbierała się, dysputowała, kształciła się wzajemnie, zajmowała się kwestjami polityki i ekonomji. W ten sposób zupełnie niepostrzeżenie pomiędzy r. 1869—1872 socjalizm zajął miejsce nihilizmu. Pod koniec siódmego dziesięciolecia młodzież jeszcze była nawskroś nihilistyczną. Swoje dążenia społeczne optymistycznie skierowała ona ku liberalnym celom, jakimi były szkoły i stowarzyszenia. Ale rząd uniemożliwił wszelką pracę w tym kierunku, a młodzież pomimo to chciała być szczerze użyteczną ludowi, nie wiedziała tylko czem. Dok. n.



Przegląd pism.

»Wisła«. — T. VIII. Lipiec, Sierpień, Wrzesień 1894.

Nowy zeszyt »Wisły« ozdobiony ilustracją, przedstawiającą kobietę ze wsi Bołozwi Górnej pow. staromiejskiego w Galicji, zawiera w dziale rozpraw dokończenie cennej pracy ks. Ant. Juszkiewicza »Wesele litewskie z okolic Wielony« w przekładzie z litewskiego Jana Karłowicza, dalej siedm opowiadań ludowych ze Starego Sącza, zapisanych przez Seweryna Udzielę (szkoda, że p. Udzielą podaje te opowiadania w swoich przeróbkach, bez zachowania stylu i narzecza ludowego i nie podaje wskazówek, gdzie były już drukowane opowiadania polskie, należące do tego samego tematu).

Ozdobą zeszytu obecnego jest maleńka pod względem objętości, ale cenna rozprawka dra J. Karłowicza »Król Lear u nas«, gdzie podano tekst dwóch pieśni polskich i jednej morawskiej, odnoszących się do tematu, który posłużył Szekspirowi za osnowę jego nieśmiertelnej tragedji i podano zarazem odnoszącą się tu powiastkę z Gesta Romanorum. Przy końcu artykułu uprasza autor wszystkich ludzi dobrej woli, by mu udzielali nowych odmianek tej powieści czyto w postaci rymowanej, czy nierymowanej.

Mniej zrozumiałem jest dla nas drukowanie w »Wiśle« przekładu dużego, dwutomowego, dość gruntownie opracowanego dzieła Czernego »Istoty mityczne u Serbów Łużyckich«, w przekładzie Br. Grabowskiego. Dzieło to wyszło w r. 1893, jest dostępne dla każdego specjalisty, a przekład jego na język polski nie był wskazany żadnemi szczególnemi jego zaletami.

Do ogromnej już kolekcji polskich obrzędów i pieśni weselnych przybywa nowy przyczynek w pracy Leona Lissowskiego «Obrzędy weselne w Szołajdach w pow. Kutnowskim«, której część główna znajduje się w obecnym numerze. Kto też weźmie się do jednolitego naukowego sprawowania wszystkich polskich obrzędów i pieśni weselnych na wzór tego, jakiego dokonał Wołkow z takimże materjałem ukraińskim? Kończy ten dział bogata kronika geograficzna za r. 1893, umiejętnie zebrana przez Wł. Nałkowskiego.

Bardzo cenne i umiejętnie opracowane studjam B. W. Segela o chasydach i chasydyzmie porusza rzecz w polskiej folklorystyce dotychczas ledwie rozpoczętą, a godną najżywszej uwagi ze względu zarówno na ważność tematu, jak i na bogactwo materjałów, jakie daje żydowska literatura dla folklorysty.

W dziale poszukiwań znajdujemy mnóstwo zajmujących przyczynków, z których wyróżniają się bogactwem szczegółów i nowością tematów te, które podaje E. Jeleńska. W dziale bibljografji Z. Wasilewski zwraca uwagę na pracę prof. Cybulskiego o żywieniu się ludu galicyjskiego, której w lecie poświęciliśmy osobny artykuł. Wł. Bugiel kończy swoje omówienie pracy francuskiej Wołkowa o obrzędach i pieśniach weselnych ludu ukraińskiego, zaś Br. Grabowski podaje streszczenie nowej pracy czeskiego uczonego Czeńka Zibrta o dziejach i kierunkach historji cywilizacji. Przy końcu zeszytu znajdujemy dokończenie sprawozdania Żmigrodzkiego o kongresie folklorystów w Chicago. — Książka ta odznacza się, jak widzimy, wielkiem bogactwem treści.

Dr. Iwan Franko.

Z drukarni Z. Golloba we Lwowie